

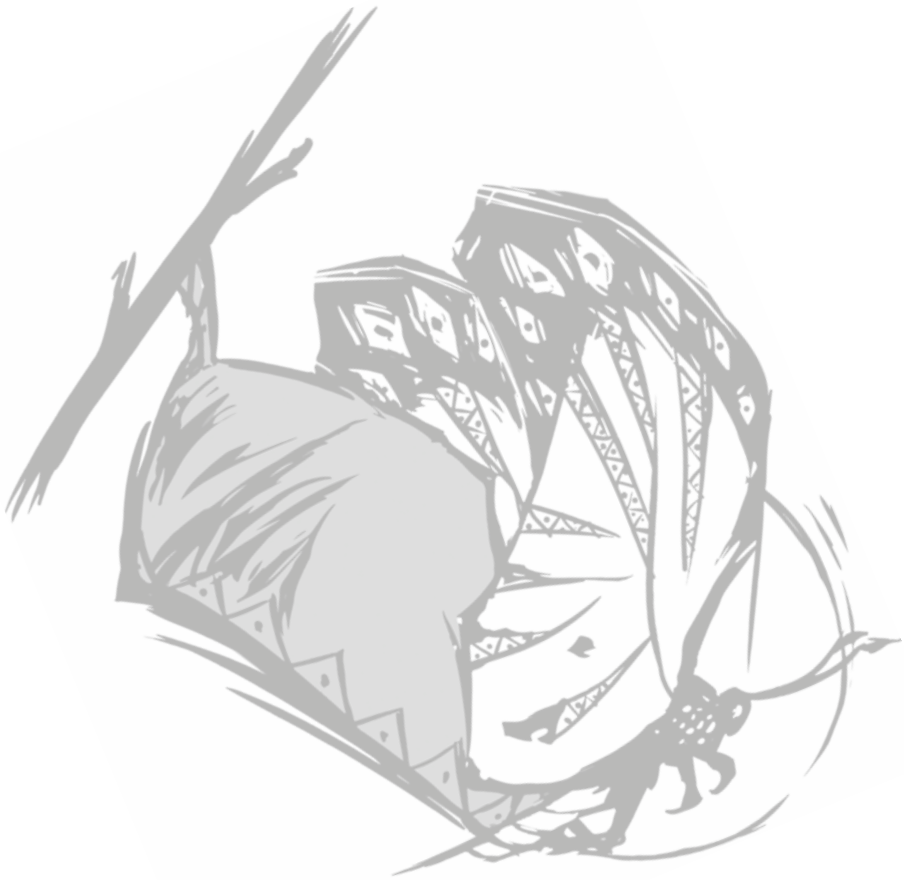


POCZWARKA

Ula Gudel

Ula Gudel

POCZWARKA



BookEdit

Copyright © Ula Gudel, 2024

Projekt okładki: Szymon Wieczorek, Racim Bey

Ilustracje na okładce: © Racim Bey

Redakcja: Anna Kielan

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68032-66-6

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

PROLOG

Żagiew ziewnął szeroko i leniwie otworzył jedno oko.

– Słyszałeś? – zapytał Wybłysk podekscytowanym tonem i wyciągał szyję, by zaspokoić swoją ciekawość. – Któż przychodzi do Źródła tak wcześniej rano?

– Daj spać, zakuta pało! – warknął Żagiew. – Najpewniej ptak albo inny szczur stracił jakiś kamień w tunelu, a ty od razu machasz ogonem z radości. Ona się dzisiaj nie zjawi!

Jego zrosłak nie dał się tak łatwo zbyć. Poderwał wspólne cielsko i niczym młode szczenię ruszył w podskokach.

– Słyszę kroki! Słyszę kroki! Słyszę kroki! – pokrzykiwał w przypływie euforii.

Nie pierwszy raz od tysięcy lat Żagiew przeklinał podły los, który obdarzył go bliźniakiem – jedno ciało, dwie głowy, dwie odmienne natury. Tak przeznaczenie zadrwiło z najpotężniejszego gatunku, który stąpał po tym nędznym padole. Dwugłowy smok. Kto to widział takie rzeczy! Żagiew był pewien, iż gdyby urodził się bez tej tępej narośli, przeszedłby do historii jako jeden z najpotężniejszych i najmędrzych jaszczurów, jakie chodziły po świecie. Tymczasem utknął jako strażnik Źródła razem z tym upierdliwym tłukiem. Starość nie mogła być bardziej irytująca.

Tym razem jednak wydawało się, że jego przygłupi brat miał rację, bo po chwili od wejścia do jaskini doszło ich wyraźne echo ludzkich kroków. Tylko jeden człowiek tu przychodził. Żagiew w pośpiechu poprawił łapą błękitne łuski na czubku głowy na wypadek, gdyby znowu zadarły mu się we śnie.

W końcu ujrzał wysoką niewieścią sylwetkę odzianą w szare szaty. Jej włosy, niegdyś kruczoczarne, teraz na skutek ciężkich przeżyć, jakich

doznała w swoim krótkim życiu, iskrzące się srebrem, zaplotła w długi warkocz do kolan.

– Bądźcie pozdrowieni, przedwieczni! Przepraszam, iż nachodzę was o tak wczesnej porze.

– Ależ, moja droga, kto rano wstaje, ten nie jest szachrajem... Zawsze tak powiadałem – podkreślił Żagiew.

– A nie brzmiało to tak: „Kto rano wstaje, ten moc oddaje”? – Wybłąsk wyszczerzył zęby w swoim przygłupim uśmiechu.

– Nie – warknął drugi smok i kontynuował konwersację z nowo przybyłą. – Rad jestem cię widzieć o każdej porze dnia i nocy, moja droga. Lecz oto zdaje mi się, że twoje piękne oczy noszą nowe zmartwienie.

– Rzeknij słowo, a pożrę każdego, kto jest źródłem twego niepokoju – zadeklarował jego bliźniak, po czym uderzył potężną łapą w pierś, na skutek czego Żagiew zakrztusił się i odkaszlnął.

Tłumok.

– Przyszłam prosić o możliwość zajrzenia do Źródła. – Jej aksamitny głos jak zawsze budził w smoku dziwną melancholię. Było w niej tyle smutku, ile może pomieścić serce osoby bez nadziei. – Chcę wiedzieć, co dzieje się w moich ojczystych stronach.

– Przejmujesz się losem tego młodzieńca? – Żagiew nie mógł ukryć zazdrości, którą odczuwał, ilekroć wspominała swoje poprzednie życie.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dręczą mnie obawy o los Dziewczyny bez Imienia.

– Jak nas wszystkich – zapewnił gorliwie Wybłąsk. – Ale wiesz, że nie wolno nam się mieszać. Nim zdążyłoby nam to zaświtać w głowie, a zaraz, pstryk! Zjawiłby się Usypiacz i zagwizdał nas wszystkich na wieczność.

– Być może, gdybym z nim pomówiła, przekonałabym go. – Podeszła powoli do kryształowej tafli magicznej cieczy, która rozpościerała się u stóp dwugłowego smoka.

Oba łby prastarego stworzenia równocześnie przekrzywiły się w wyrazie sceptycyzmu.

– Znasz tego nieczułego ladaco, moja droga – rzekł Żagiew. – A istoty, od których przyjmuje polecenia ta oziębła ameba, nie są po stronie dziewczyny.

– Może razem odkryjemy coś, co je przekona? – wyrwał się jego tępy brat.

– Masz rację, Wybłysku. – Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu. – W końcu jesteście Strażnikami Źródła, czyż nie? Któż lepiej niż wy potrafiłby się nim posłużyć?

Żagiew dałby sobie odkroić lewą łapę (tę, od strony jego bliźniaka), by częściej oglądać oznaki zadowolenia na jej obliczu. Długim pazurem dotknął błyszczącej tafli, która natychmiast zastygła niczym polerowana tarcza z najczystsze­go srebra. Przed ich oczyma pojawiły się znajome mury Kamiennego Gniazda.

– Spójrzmy zatem.

ROZDZIAŁ I

Niektórzy umarli wracają do życia

Wartownik niezbyt przytomnym wzrokiem obserwował kawkę, która tańczyła i w podskokach przemieszczała się z jednego łba na drugi. Jej pazury zahaczały o zmarznięte włosy trupów, pomimo to konsekwentnie kontynuowała poszukiwania. W końcu dopięła swego. Zatrzymała się na jednej twarzy i szybkim ruchem dziobu wydłubała ostatnie pozostałe jeszcze oko w rzędzie umarłaków. Zadowolona z siebie odfrunęła z łupem.

– Przynajmniej te latające szczyry mają ucztę – usłyszał za sobą głos.

Gwardzista się wyprostował. Ha'teng, Strażnik Bezpieczeństwa Kamiennego Gniazda, stał tuż za nim. Wartownik poczuł się głupio, że tak się zagapił. Nie słyszał nawet, jak się zbliża. Pierwszy Brat stanął przy nim, wychylił się przez krawędź muru.

– Podziwiasz widoki? – zapytał nie bez sarkazmu.

– Cuchną.

Ha'teng wciągnął chłodne powietrze nosem.

– Nie bardziej niż za życia.

Pod nimi na żerdziach, włóczniach i palach wzdłuż niższych murów zamku zatknięto rozczłonkowane ciała buntowników, którzy zaledwie parę dni wcześniej ośmielili się zaatakować swoich panów.

– Jeszcze trochę tu powiszą – dodał dowódca. – I dobrze. Przynajmniej ci, co przeżyli, tak prędko nie zapomną. – Odwrócił się na pięcie i pomaszerował wzdłuż murów.

Wartownik odetchnął z ulgą. Najwyraźniej tego dnia słynny Tygrys miał głowę zajęętą ważniejszymi sprawami niż besztanie zwykłego wojownika, który przysnął na warcie.

* * *

Posępny jak puchacz dzienną porą król Ha'attik przysłuchiwał się dyskusji Rady. Od rozpoczęcia obrad nie wypowiedział nic więcej ponad „zgoda” lub „nie zgadzam się”. To musiało wystarczyć jego przybocznym. W myślach trawił wieści z Kamiennego Gniazda. Nie pierwszy raz niewolnicy buntowali się w kraju Ha'ami. Jak każdy zryw, także i ten, skazany był na porażkę, a burzyciele ponieśli przykładową karę. Wszyscy z jednym wyjątkiem, a na tym zgonie zależało mu najbardziej.

Berennike żyła. Przynajmniej na razie.

Kiedy ogłoszono przerwę, podeszła do niego Dioniza, ciotka, która po przedwczesnej śmierci swojej siostry, a jego matki, została jego prawą ręką i współprzewodniczyła Radzie. Była niezwykle urodziwą niewiastą o długich włosach, zawsze starannie splecionych w gruby warkocz, mocnej, wyprostowanej sylwetce i przenikliwych oczach. Jej odzienie podkreślało wysoki status – ciemnoniebieska suknia mieniła się wyszukanymi haftami, które wykonano złotą nicią, nabite klejnotami kolczyki zwieszały się z uszu i sięgały do ramion. Wszystko w niej było przemyślane i dopracowane do perfekcji. I nic nigdy nie umykało jej uwadze.

– Wydajesz się nieswój, mój królu – szepnęła tak, że nikt inny nie słyszał. – Coś cię trapi?

Nawet na nią nie spojrział. Wiedział, że nie zwiedzie jej żadną wymówką.

– Nic, o czym gotów byłbym mówić.

– Zatem zaczekam, by służyć ci radą i pomocą, kiedy przyjdzie czas. Tymczasem wygląda na to, iż mamy nieproszonych gości. – Wskazała wzrokiem na wrota do komnaty, skąd dochodził nasilający się hałas.

– Sprawdź, co tam, u diaska, się dzieje – rzucił Ha'attik do sługi, który właśnie napełniał dzbany winem.

Młody, bladej mężczyzna ruszył pędem na zewnątrz, ale po chwili zamiast niego w drzwiach pojawił się gwardzista, który trzymał straż przed salą zebrań.

– Dowódca Wschodniej Armii przybył na Lwią Skalę i prosi o audiencję, panie – zameldował.

– Król jest zajęty – odparła Dioniza.

– Tak... Hm, to mu powiedzieliśmy, on jednak...

– Widać nie wytłumaczyliście mu tego wystarczająco stanowczo – rzucił cichym, ale władczym tonem Ha'attik. – O ile nie przybył ogłosić nam swego zwycięstwa nad Azzgotami, zaczeka. Jak mu niewygodnie tam, gdzie jest, zaoferujcie mu celę w lochu. To właściwe miejsce dla tych, którzy nie rozumieją królewskich rozkazów.

– Przekażę twoje słowa, panie. – Wartownik skłonił się i wyszedł.

– Wiesz, o co chodzi? – szepnęła ciotka i wręczyła mu puchar z winem.

– Dwa powody wywabiają bestię z nory. Zapach świeżej zwierzyny albo woń innego drapieżnika, który wkroczył na jego terytorium.

– W tym przypadku oba są prawdziwe. – Uśmiechnęła się przenikliwie. – Co zamierzasz zrobić?

– Co radzisz? – Oddał jej naczynie.

Czuł się nieswojo. Jakby ktoś go obserwował. Podejrzliwym wzrokiem rozejrzał się po komnacie. Wszyscy doradcy wydawali się pogrążeni w na pozór swobodnych rozmowach.

– Powinniśmy pozwolić im szarpać się między sobą. Przy odrobinie szczęścia pożrą nie tylko ją, lecz i siebie nawzajem.

– Mądrość przez ciebie przemawia.

Dioniza wezwała zebranych do zajęcia miejsc. Przerwa dobiegła końca, czas na ciąg dalszy obrad.

* * *

– Powiadomiłem króla, jak chciałeś. – Ha'teng usiadł miękko w fotelu i nalał sobie wina.

Namiestnik tylko skinął głową. Nie odwrócił się, kiedy dowódca wszedł do gabinetu. Zamyślony gapił się przez okno z ponurą miną.

– Wiesz, że Ha'tatik się nie ucieszy – ciągnął Strażnik Bezpieczeństwa. Zauważył, jak szczęki jego przyjaciela się zacisnęły. – Domyślasz się, że miał co do niej inne plany – kontynuował temat niezrażony. – To Ha'gardowi obiecano...

– Wiem – przerwał mu ostro Ha'akon. – Wiem dokładnie, co było zaplanowane. I tak jak ty wiem, co Ha'gard by z nią zrobił – zamilkł na chwilę. Spokojnym już tonem dodał: – Dlatego podjęliśmy taką decyzję. To słuszne rozwiązanie dla Kamiennego Gniazda.

Zaiste, MY podjęliśmy tę decyzję – pomyślał Tygrys, uśmiechając się w duchu. Pociągnął zdrowy łyk wina. – *Któż śmiałyby debatować z szarżującą bestią.*

– A co z krasnoludami? – zmienił temat.

– Ha'sani z nimi negocjuje. Nie jest łatwo. Co prawda nie grożą już zrównaniem twierdzy z ziemią, ale nie odpuszczają, żądają wydania *Ta'umy*, kiedy tylko będzie zdolna do przemieszczania się. – Namiestnik potarł czoło dłonią.

– A będzie? – zapytał Strażnik Bezpieczeństwa obojętnym tonem, ale zaraz pożałował.

Przyjaciel w końcu zwrócił na niego swoje spojrzenie. Twarz miał zapadniętą i poszarzałą, a oczy pociemniałe i pozbawione blasku. Wyglądał

jak cień samego siebie. Dowódca otworzył usta, żeby jakoś naprawić gafę, kiedy do komnaty weszła Temina. Jak zawsze odziana w ciemne, luźne szaty, ale, co było dla niej niezwykle, nie wyglądały na świeże.

– Pijecie tak rano? – Wyjęła kielich z dłoni Ha'tenga. – I to beze mnie? – Pochłonęła całą zawartość duszkiem, po czym nalała do pełna i wychyliła raz jeszcze. Wytarła dłoń rękawem i opadła ciężko na krzesło. – W sumie nie wiem, czy to dzień, czy noc. Nie pamiętam, kiedy spałam. – Poruszyła szyją, żeby rozciągnąć mięśnie, podczas gdy obaj mężczyźni utkwili w niej wzrok. – Tak, wiem, nie o mnie wam chodzi! – Ziewnęła głośno. – Melduję, że większość wojowników, poza trzema, opuściła Lecznice. Pozostali też za chwilę wyjdą o własnych siłach. Co do dwojga najciężej rannych, bez zmian. Ani gorzej, ani lepiej.

– Masz zamiar ich wybudzić? – zapytał Ha'teng, dolewając jej jeszcze trunku.

– Dzięki, łaskawco. – Pokiwała głową z uznaniem. – Będę musiała. Trzeba zacząć ich karmić, nie przeżyją długo z takimi ranami w uśpieniu. Dla nich to oznacza ogromny ból, bo obrażenia są naprawdę poważne. – Spojrzała niepewnie na brata, który znowu odwrócił się do okna. – Nie widzę innego wyjścia. Dzisiaj przestanę podawać im zioła.

– Jakie leczenie zamierzacie wdrażać? – Bezbarwnym głosem przerwał jej Namiestnik.

Temina westchnęła.

– Niewiele możemy zrobić. Nasze umiejętności i wiedza są bezradne w takich przypadkach.

Obaj wojownicy się domyślali, co sugeruje. Tak ciężko rannych Ha'ami spisywali na straty i dobijali. Nikt nie trudził się szukaniem sposobów na utrzymanie kogoś przy życiu, kiedy odzyskanie przez niego pełnej sprawności wydawało się mało prawdopodobne.

Po krótkiej, przygnębiającej ciszy zielarka poderwała się na nogi.

– Dobra, tyle miałam do powiedzenia.

Tygrys wiedział, że mogła to wszystko przesłać w liście. Domyślał się jednak prawdziwego powodu jej wizyty. Podeszła do Ha'akona, położyła mu dłoń na ramieniu i uważnie studiowała jego napiętą twarz. Wprawdzie nabyta przez lata dyscyplina sprawiała, że władca nosił się z niezmienną godnością – gładko ogolony, nienagannie, choć prosto odziany w czarne spodnie i błękitny kaftan, z mieczem przypiętym do pasa. Ci, którzy go znali, potrafili jednakże rozpoznać, iż jego duch był niespokojny.

– Chcesz być tam, kiedy się obudzi? – szepnęła do brata, choć nie na tyle cicho, by także Strażnik Bezpieczeństwa jej nie usłyszał.

– Nie. Ale krasnoludy na pewno wyrażą takie życzenie.

– Nie musisz mi mówić, prawie nie opuszczają Lecznicy. Zwłaszcza ten cichy, który wygląda jak pierzasty worek...

– Kaz jest niemową i jakiegoś rodzaju mędrcelem swego plemienia.

– Interesujące – odparła Temina tonem, który wskazywał, że wcale jej to nie obchodzi. – Dobrze zatem, twoja wola. Prześlę wiadomość przez syna Perin. Ten także waruje pod drzwiami całymi dniami. Dla odmiany może się do czegoś przydać. – Machnęła ręką na pożegnanie i wyszła, w przelocie rzuciła zmartwione spojrzenie Tygrysowi.

W ostatnich dniach nawiązała się między nimi nic milczącego porozumienia. Oboje frasowali się tym samym. Jak zareaguje Ha'akon, jeśli dziewczyna umrze. A jeśli przeżyje, jak daleko posunie się, żeby ją przy sobie zatrzymać... I jaką cenę przyjdzie im za to zapłacić.

* * *

– Mów zwięźle, śpieszę na wieczerzę z Radą. Dioniza pewnie i ciebie zaprosiła – powiedział sucho Ha'attik, kiedy znalazł się sam na sam z dowódcą.

Zapadł już zmrok, niedawno zakończyło się całodziennie posiedzenie.

– Nie po to pędziłem na złamanie karku z Dalekiego Wschodu, żeby przesiadywać cały dzień na ławie czy ucztować z opasłymi brzuchami w stolicy. – Haġard wyduł usta w pogardzie.

Rzeczywiście wyglądał, jakby przybywał prosto z pola bitwy. Odzienie miał zabłocone, czuć od niego było koniem i potem.

Król zmarszczył brwi.

– Nikt nie zabronił ci zażyć odpoczynku ani skorzystać z łaźni.

Dowódca poczerwieniał na twarzy.

– Moja sprawa nie cierpi zwłoki!

– Jak na kogoś, kto od wielu księżyców prosi Koronę o więcej czasu na zdławienie rebelii, sam nie wykazujesz się daleko idącą cierpliwością – odparł z zimnym spokojem Ha'attik. – Cóż tak pilnego przygnało cię w te strony?

– Twoje słowo, panie.

– Tak? Cóż z nim?

– Zostało złamane.

– Uważaj, na kogo warczysz, dowódco. – Król nie wykonał żadnego ruchu, ale ton jego głosu sprawił, że stojący przed nim wojownik cofnął się o krok. – Moje pobłażanie ma swoje granice.

– Panie... – kontynuował podwładny, choć z trudem nad sobą panował. Najwyraźniej nie był do tego przyzwyczajony. – Po wygranej wojnie z Azzgotami to mnie obiecałeś Berennike, a wraz z nią koronę tamtych ziem.

– I?

– Wieść niesie, że dostał ją Ha'akon.

Ha'attik ze zdumieniem spojrzął w ciemność za oknem.

– Czy wyglądam na rajfura, Haġardzie?

– Co?

– Czy uważasz, że twój król jest rajfurem, który nie ma nic lepszego do roboty, niż handlować dziewczkami ze swoimi dowódcami?

– Panie, to nie o dziewczkę chodzi, ale o ziemię Azzgotów...

– Nad którymi nie potrafisz zapanować, czyż nie?

– Panie...

– Posłuchaj mnie dobrze, dowódco. Już wezwałem Ha'akona, żeby doprowadził tu tę przybłądę, kimkolwiek jest, skądkolwiek się wzięła. Ale kiedy ją dostanę, mam tylko jedno pytanie, na które muszę znaleźć odpowiedź. Jeśli ona jedna jest niezbędna do kontrolowania tej dziczy, po co mi Ha'gard?

Wojownik zbladł, potem poczerwieniał. Jego pięści zacisnęły się i przez chwilę wydawało się, iż ruszy na króla. W końcu jednak powściągnął złość.

– Rad będę przyjąć was wszystkich – twoją świętę, panie, Ha'akona i tę azzgocką zdziwę na wschodnich rubieżach, by udowodnić, kto z naszej trójki najlepiej ci się przysłuży.

– Świetny pomysł. Z chęcią obejrzę dowody tryumfu Ha'ami z bliska.

Ha'gard się pokłonił.

– Możesz być pewien, że tych nie zabraknie. – Po tych słowach dowódca opuścił komnatę.

* * *

Eli była w stanie płynnej nieważkości. Nie wiedziała, gdzie jest góra, a gdzie dół. Odbierała jedynie pojedyncze odgłosy – szuranie butów, stłumione szepty i dziwny dźwięk, jakby coś skrobało jej do ucha. Czasami wydawało jej się, że ma otwarte oczy... Myliła się, bo najmniejszy promyczek światła nie przebijał się przez morze czerni, w której była pogrążona.

Aż poczuła ból. Jeszcze nigdy w życiu nie doznała takiego rozmiaru cierpienia, jakby tysiące noży cięło ją na kawałki, zabierało oddech i zdolność myślenia. Całe ciało wydawało się rozpadać. A ona była bezradna i nie mogła się przed tym bronić.

– Eli – powiedział jakiś głos.

Brzmiał znajomo, ale z ledwością przebił się przez gehennę, którą przechodziła. Gdyby mogła, wyrzesałaby odpowiedź. Jej usta wydawały się jednak zasznurowane niewidoczną nicią. Nareszcie udało jej się uruchomić powiekę. Osłepiająca luna wdarła się przez źrenicę i zwiększyła męki. Oddychała ciężko. Wiedziała już, iż ułożono ją na boku.

– Eli – powtórzył głos.

Wydała z siebie nieokreślony dźwięk.

Ostrzyżona głowa młodego mężczyzny pojawiła się tuż przed nią.

– Peri – wygrzebała imię z zakamarków świadomości.

– Obudziła się – powiedział do kogoś, kto stał po drugiej stronie łóżka. Nie usłyszała odpowiedzi.

Namio podetknął jej pod nos kubek, uniósł delikatnie jej głowę i przechylił, by mogła skosztować napoju.

– To zioła przeciwbólowe – szepnął. – Temina kazała ci je podać, jak tylko odzyskasz świadomość.

Jej zeszywniałe wargi wolno przepuszczały płyn, który rozlewał się po jej wnętrznościach. Nie czuła smaku ani zapachu. Miała tylko nadzieję, że to, co powiedział, było prawdą i mikstura przyniesie jej ulgę.

– Nie próbuj wstawać, masz plecy pokryte opatrunkami – ostrzegł ją, kiedy oddalił się od łóżka. – Jest tu ktoś, na czyj widok z pewnością się ucieszysz, więc nie skacz za wysoko.

Nie miała siły się uśmiechnąć na ten żart.

Niespodziewanie zobaczyła przed sobą dwa brodate oblicza.

– Kaz... Zak... – wydyszała, nie wierząc własnym oczom.

– Jesteśmy tutaj, dziecinko – powiedział łagodnym tonem wódz krasnoludów.

Nic się nie zmienił. Zarówno ciemne włosy, jak i zarost na twarzy miał starannie zaczesane i splecione w warkocze. W uszach błyskało jeszcze więcej złotych kolczyków niż dawniej. Jego szare oczy wyrażały

zmartwienie. Najwyraźniej nie wiedział, co uczynić z dłońmi. Wydawało się, iż chciał jej dotknąć, lecz jednocześnie bał się to zrobić.

Jego brat bliźniak stał tuż obok. Trudno jednak doszukiwać się oznak pokrewieństwa. Kaz nigdy nie dbał o powierzchowność, wyglądał, jakby nie czesał się od lat, a jedyne ozdoby, które nosił, wykonał sam, głównie z drewna i kamienia. Eli wiedziała, że wszystkie miały ogromne znaczenie w szamańskiej religii jego plemienia.

– Zabierzemy cię stąd, jak tylko będziesz w stanie się ruszać, to ci obiecuję, jakem Zak – oznajmił basowym głosem, jednakże jego mina nie wskazywała wcale, że był tego tak pewien, jak sugerowały słowa.

– Tallen? – zapytała z niepokojem, kiedy zorientowała się, iż nie powiedział „zabierzemy WAS”.

– Jest tutaj... – wybąkał z wyraźnym niezadowoleniem krasnolud i odsunął się na bok.

Eli dostrzegła znajomą sylwetkę na sąsiednim łóżku. Tak jak ona Tallen spoczywał na boku, pogrążony w narkotycznym śnie, przykryty białym płótnem.

Na chwilę zapomniała o bólu.

– Ojczulku – wychrypiała. Czują, że niewiele słów będzie w stanie wydusić, zanim znowu odpłynie. Obraz jej się zamazywał przed oczami. – Błagam cię, pomóż mu. Nie możesz go tu zostawić. Obiecuj mi.

Twarz Zaka wykrzywiła się w nieokreślonym grymasie, zamruczał coś pod wąsem niewyraźnie, ale wtedy brat zacisnął mu dłoń na ramieniu.

– Dobrze, dziecinko, obiecuję – wydukał. – A teraz odpoczywaj. Kaz będzie tu przy tobie czuwał, ja idę pertraktować z tymi szujami. – Z wahaniem pogłaskał ją lekko po policzku swoją nabitą twardymi odciskami dłonią.

Eli zamknęła oczy i pogrążyła się w pełnym bólesci półśnie.

* * *

Tallen obserwował, jak młoda uzdrowicielka zmienia opatrunki śpiącej Eli. Po drugiej stronie u wezgłowia łóżka jego rannej przyjaciółki siedział dobrze mu znany krasnolud, okutany w tonę trudnych do zidentyfikowania łaćmanów wykonanych ni to z pierza, ni to z tkaniny. Rzeźbił w kamieniu figurki fantastycznych stworzeń, jak to miał w zwyczaju.

Plecy dziewczyny były straszliwie okaleczone. Głębokie szramy, które rozciągały się po całej ich powierzchni, odsłaniały kości. Kiedy była przytomna, musiała bardzo cierpieć, do tego przy tak rozległych uszkodzeniach mięśni z pewnością nie będzie się sprawnie poruszać ani teraz, ani w przyszłości.

Gdyby tylko mogli wrócić do Zielonego Królestwa i oddać ją pod opiekę elfich uzdrowicieli, miałyby szansę... On sam nie posiadał Daru, który mógł ją uleczyć.

Kiedy niewiasta Ha'ami skończyła swoje zadanie i opuściła komnatę, skinął na krasnoluda. Od dawna czekał na tę szansę, ale po raz pierwszy zostawiono ich samych. Kaz, który obserwował go spod oka, odpowiedział gestem. Swego czasu Eli nauczyła Tallena podstaw języka migowego, którym posługiwał się jej niemy przyjaciel. Znak wykonany w tej chwili przez niego znaczył mniej więcej: „Czego?”

– Jeśli dasz radę, przepchnij jej łóżko bliżej, żebym mógł jej dotknąć – wyszeptał.

Kaz odłożył swoje rzeźbiarskie narzędzia, wstał i niewielkim wysiłkiem przesunął posłanie razem z Eli tak, że znalazła się w zasięgu rąk Tallena. Ten położył dłoń na jej czole, wyczuł, iż ciągle była w głębokim, narkotycznym śnie. Iskierka życia, która się w niej jeszcze tliła, była równie słaba jak płomień świecy na wietrze.

– Możesz teraz zszywać. Niczego nie poczuje.

Elf wiedział, że Kaz jako szaman posiadał duże doświadczenie w leczeniu, także w trudnych polowych warunkach. Jednak jego sugestia wyraźnie zaskoczyła krasnoluda. Zamigał pytanie.

– Ufam ci bardziej niż im – wymamrotał Tallen. – Poza tym czekałeś na odpowiedni moment i zrobiłbyś to i bez mojej zgody czy zachęty.

Kaz pokiwał głową z determinacją. Sięgnął do przepastnej torby, z którą się nie rozstawał, i wygrzebał zestaw nici i igieł z kości, a także niewielką buteleczkę. Najpierw użył płynu do oczyszczenia obrażeń na plecach Eli, a potem zanurzył w nim narzędzia. Wprawnymi ruchami „cerował” rany dziewczyny. W pewnym momencie podniósł wzrok na elfa. Znakiem zapytał, czy też życzy sobie podobnego zabiegu.

– Ona jest ważniejsza – odparł Tallen. – Jak starczy ci sił i nici na mnie, będę wdzięczny za pomoc. – Nigdy nie myślał, że wypowie te słowa do kogokolwiek, tym bardziej do krasnoluda, z którym w przeszłości nie był w serdecznych stosunkach. Po tym wszystkim, co Eli dla niego przeszła, musiał stanąć na nogi, po to, żeby móc ją chronić.

Kaz pochylił się ponownie nad dziewczyną i kontynuował swoje zajęcie w skupieniu.

* * *

– Czy mogę już usiąść? – zapytała Eli, kiedy Temina i Perin przeciągały oględziny jej pleców.

Była poirytowana. Od kiedy się obudziła, te dwie niewiasty studiowały jej pozszywane przez Kaza rany jak jakąś fascynującą mapę. Tallen udawał, że śpi, zapewne, by zignorować obecność Ha'ami.

– Zalecałabym ostrożność – zauważyła Perin. – Te nici wyglądają na bardzo delikatne.

– Pozory – mruknęła Temina. – Widziałas, jakim nożem musiał je przecinać? – Ruchem głowy wskazała siedzącego w kącie krasnoluda, który, jak gdyby nigdy nic, zajmował się rzeźbieniem figurek w kamieniu.

– Niesamowita robota – ponownie westchnęła Strażniczka Zdrowia i lekko dotknęła skóry Eli.

– Chcę już usiąść – powtórzyła dziewczyna.

– Hm, tak – zgodziła się w końcu Perin.

Obie niewiasty się wyprostowały i odstąpiły krok w tył. Z wolna uniosła się na łokciach. Czuła, że skóra na plecach napina się jak błona naciągana na bębenku.

– Wiedziałaś, że twój przyjaciel ma takie zdolności? – zapytała Temina, kiedy Eli spuściła nogi z łóżka i jednocześnie owinęła się ciasno płótnem, którym była przykryta.

– Kaz jest niezwykle mądry – przyznała. – Nieraz byłam świadkiem, jak zszywał komuś ranę. Co prawda, nie tak głęboką...

– Hm, tak. To doprawdy niezwykle – powtarzała Perin w zamyśleniu i schowała ręce w kieszenie swojej luźnej, błękitnej szaty. – Czy myślisz, że mógłby mnie tego nauczyć?

Eli uśmiechnęła się w duchu. Uzdrowicielka Ha'ami prosiła o wskazówki krasnoluda! W dodatku niemowę, w ich rozumieniu kalekę!

– Nie wiem. Mogę go zapytać. – Uprzejmie odłożyła temat w czasie. Miała nadzieję, że Perin wyczuje sugestię, iż prawdopodobieństwo takiego dzielenia się wiedzą jest niewielkie.

– Dziękuję – bąknęła Pierwsza Siostra. – Odpoczywaj. Ja muszę wrócić do swoich obowiązków. – Pożegnała się ze wszystkimi, włączając w to krótkie, sztywne skinienie głowy w stronę Kaza.

Musiąło przyjść jej to z trudem – pomyślała Eli.

W otwartych drzwiach pojawiła się nastroszona czupryna Periego.

– Mogę już wejść?

– Pod warunkiem, że nie będziesz się gapił na moje szwy – odburknęła dziewczyna. Nie miała ochoty być oglądana przez kolejnego gapia podziwiającego kunszt krasnoludzkiej sztuki leczniczej.

– Wejdz, wejdz – zachęciła Temina. – Nie przejmuj się tą gburką. Ja muszę przekazać memu bratu najnowsze wieści.

Wyminęła *namio* w drzwiach. Ha'perin niepewnym krokiem podszedł do łóżka i przycupnął na jego brzegu. Eli nie spojrzała na niego. Jej wzrok spoczywał na elfie. Teraz to ona mogła przyjrzeć się szwom, które nałożył Kaz. Po raz pierwszy ujrzała skalę obrażeń, jakie odniósł Tallen. Nie równe szramy ciągnęły się wzdłuż jego ciała, od pośladków, po szyję. Do tego dochodziły poprzednie urazy, które odniósł z ręki Ha'tenga podczas przesłuchań. Zmiażdżona dłoń, poparzona skóra... Ciało jej przyjaciela wyglądało na zmasakrowane. Zastanawiała się, jakim cudem jeszcze żyje.

– Przyjął dwadzieścia pięć batów – odezwał się Peri. Najwyraźniej nie mógł dłużej znieść ciszy.

Pokiwała głową. Nie podniosła jednak wzroku.

– Czyn godny podziwu. Jak... jak dotarliśmy do Lecznicy? Pamiętam tumult i wrzask.

– Wynieśliśmy was z placu razem z Ha'tengiem – wyjaśnił. Spojrzała na niego zdziwiona. – Tak, owszem. Właśnie z nim. – Uśmiechnął się lekko, jakby odczytał jej myśli. – Ale kiedy zostaliśmy zaatakowani w zaułku, nieoczekiwanie zjawił się olbrzym z odsieczą. Ta walka była zaiste warta pieśni dobrego barda!

– Olbrzym?

– Sługa. Podobno tragarz. A obecnie osobisty pacholek Teminy. Zapewne napotkasz go w Lecznicy, kiedy wstaniesz na nogi.

– Poczekaj... – Od nowych informacji zakręciło jej się w głowie. – Zostaliście zaatakowani? Przez kogo?

Namio się zawahał.

– Temina zatłucze mnie łopata, jeśli dowie się, że ci powiedziałem – zniżył głos. – Mam cię nie wzruszać. W trakcie twojej... chłosty... – te słowa przyszły mu z wyraźnym trudem – wybuchł bunt. Twoi zwolennicy powstali przeciw Ha'ami w twojej obronie.

Jej zdumienie rosło.

– Moi zwolennicy?

Skinął głowę.

– Azzgoci.

Zamyśliła się.

– I co dalej?

– Ha'akon przybył na plac z konnicą, otoczyli tłuszczę i ich spacyfikowali.

– Spacyfikowali? – powtórzyła głucho. Domyślała się, co to znaczy.

– Oszczędzili część tych, którzy się poddali. Pozostali... cóż... – ponownie ściszył głos – popełnili błąd. Od początku byli bez szans.

– Tak, wiem. – Spuściła wzrok. – W kraju Ha'ami wszyscy jesteśmy bez szans. A jednak lepiej umrzeć wolnym, niż żyć w kajdanach.

– Czy dlatego to zrobiłaś?

Eli zamyśliła się chwilę. Nie była pewna, czy umie nawet sama przed sobą wyjaśnić, co nią kierowało.

– Co czyni *koru-koinen*, kiedy jego brat umiera, Peri?

– To dozgonna więź. Jeśli Ha'kame zginie, pójdę w jego ślady. – Zamilkł i się zamyślił. – Rozumiem – wyszeptał po chwili.

Trwali w ciszy, dopóki Tallen nie poruszył lekko głowę.

– Podasz mu wodę, Peri? Będzie spragniony.

* * *

– Nasza oferta dotyczy wyłącznie elfa. – Ha'sani po raz kolejny wykazał się ogromną cierpliwością w pertraktacjach z krewkim rozmówcą.

Namiestnik obserwował debatę w milczeniu. W ostatnich dniach rzadko się odzywał.

– Nie odejdziemy bez dziewczyny – oświadczył krasnolud, z rękoma niezmiennie splecionymi na piersiach.

– W zamian za wolność elfa *Ta'uma* zadeklarowała, iż zostanie tu, jak długo ją o to poprosimy – odparł młody dowódca.

– Poprosicie? – Głos Zaka zadrżał z niehamowanej wściekłości. – Czy zdarzyło się to, zanim postanowiliście ją zakatować, czy do tej perswazji potrzebowaliście właśnie chłosty?

Twarz nieczłowieka była jakby wyciosana w kamieniu – głębokie bruzdy ciągnęły się przez czoło i policzki. Włosy miał starannie ułożone, a ciemną brodę zaplecioną w trzy warkoczki. Jego bordowe szaty wykonano z materiałów najlepszej jakości, a podbity futrem płaszcz zdecydowanie należał do ekstrawaganckich.

– Jak tłumaczyłem, był to niefortunny wypadek... – zaczął Klucznik, ale krasnolud przerwał mu ostro swoim głębokim jak studnia głosem.

– Tak, słyszałem. Potknęła się i nadziała na wasz bat – dwadzieścia razy. – Jego wzrok spoczął wprost na Namiestniku. – A dwie noce przed egzekucją o mało nie udusił jej skrytobójca, który przypadkiem zabłąkał się do jej sypialni.

Te słowa wybudziły Ha'akona z odrętwienia.

– Skrytobójca? – odezwał się po raz pierwszy podczas rozmowy.

Zak nie odpowiedział. Mierzył go tylko ponuro szarymi oczami spod krzaczastych brwi.

Ha'sani wydawał się zbity z tropu.

– Ktoś nastawał na życie *Ta'umy*? Skąd masz takie informacje?

– Wiem więcej, niż ci się wydaje, chłopcze. – Krasnolud nie spuszczał wzroku z Ha'akona.

Wtem rozległo się walenie do drzwi.

– Wejść! – rozkazał Namiestnik.

Do środka w pośpiechu wmaszerował gwardzista i przekazał mu zwitek pergaminu z wiadomością od Teminy, która czuwała przy rannych w Lecznicy. Odczytał.

– Zostawcie nas samych – wycedził wolno władca.

Zarówno Strażnik Kluczy, jak i wartownik posłusznie opuścili komnatę.

* * *

Ha'teng śpiesznym krokiem przemierzał korytarze twierdzy. Myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej zrzucić brudne ciuchy i zanurzyć się w gorącej wodzie. Po porannym wyjeździe w teren był ubabrany błotem jak dzik na ryjowisku. Od czasu buntu azzgockiej służby codziennie wraz z Ha'akim tropił po lasach i wyłapywał ostatnich niepokornych. Dzisiejsze polowanie należało, co prawda, do udanych, jednak grupka byłych niewolników zaszyła się w takiej dziurze, że aby ich stamtąd wykurzyć, musieli zanurzyć się po czubki głów w bagnie.

Parszywe gady chowają się w parszywych miejscach.

Z rozmachem otworzył drzwi do salonu, nie zważając na wartownika, który rozdziawiał usta i usiłował coś powiedzieć. Wejście zatrzasnęło się z hukiem i dowódca stanął zaskoczony.

Na krześle na środku pokoju w pełnej zbroi z obnażonym mieczem siedział Ha'akon – ostrze ułożył w poprzek kolan, ręce skrzyżował na piersiach i spoglądał posępnie.

– Ponieważ od prawie dwudziestu wiosen stajemy do boju ramie w ramię, dam ci jedną szansę, byś wyjaśnił, dlaczego mnie zdradziłeś – oznajmił władca. – Radzę jednak, abyś ważył każde słowo. Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Pomimo zdumienia, które wzbudziła w nim ta przemowa, Tygrys zdołał zachować zimną krew. Nie ruszył się na krok, ściągnął skórzane rękawice, odpiął pas z bronią i cisnął w kąt.

– Nie ma nic, czego bym dla ciebie nie uczynił, *koru* – odparł spokojnie. Miał nadzieję, że jego gest ostudzi wzburzone emocje przyjaciela. – Cokolwiek mi zarzucasz, jestem gotowy tego wysłuchać.

– Wyjaśnij mi zatem, *koru*... – ciągnął Ha'akon, a w jego głosie brzmiała drwina. – Dlaczego więcej o wydarzeniach na moich ziemiach dowiaduję się od krasnoluda, który przebywa w naszych progach

zaledwie kilka dni, niż od najbliższego mi brata, dowódcy służb bezpieczeństwa?

Ha'teng nie odpowiedział. Cierpliwie czekał na ciąg dalszy.

– Zatem, albo nie masz pojęcia, co się wokół nas dzieje, co oznacza, iż lekce sobie ważysz swoją powinność, albo też zataiłeś przede mną prawdę. – Namiestnik zamilkł, wciąż świdrował wzrokiem przyjaciela.

– Prawdę, o czym? – zapytał w końcu Ha'teng, kiedy cisza przeciągała się w nieskończoność.

– Kto usiłował zamordować *Ta'umę, koru*?

Ta dziewczka znowu staje między nimi. Dowódca rozłożył ręce.

– Nie wiem – skłamał. – W tej chwili mam kilku podejrzanych, których sprawdzam.

– Nie wiesz? – Oczy Ha'akona błysnęły groźnie.

– Pewne jest, że wokół dziewczyny giną ludzie. Najpierw moja służka, która miała nad nią czuwać, skończyła ze skrzyconym karkiem, potem gwardzista w zaułku...

– Który, jak zaręczyłeś, został zamordowany przez kretyna.

– Chciałem zmylić zabójcę. Uśpić jego czujność. Nie mógł wiedzieć, iż jestem na jego tropie.

– A jesteś? – W głosie władcy zabrzmiała drwina.

– Na początku myślałem, że to *Ta'uma* ukatrupiła oboje – kontynuował, ale Ha'akon przerwał mu parsknięciem.

– Wyborne! Masz mnie za kompletnego głupca? – Podniósł się z miejsca, unosząc broń.

– Zrozumiałem jednak, że ktoś na nią poluje – ciągnął Tygrys, niezrażony. – Ktoś nam bliski. W tej chwili nie jestem gotowy, aby wnieść oskarżenie, mam jednak powody, by przypuszczać, iż jest to któryś z Pierwszych Braci. Dlatego postanowiłem zachować daleko idącą ostrożność i nie mówić o tym, dopóki nie będę absolutnie pewien.

Władca zatrzymał się tuż przed nim.

– Który?

– Ha'aki i Ha'sani są równie podejrzani – zełgał ponownie. – Obaj mieli tak sposobność, jak i interes w tym, by się jej pozbyć.

– Podobnie jak ty.

– Podobnie jak ja. Tyle że ja nigdy nie zrobiłbym nic przeciwko tobie, *koru*.

Władca ponownie uniósł ostrze.

– Zdejmij kaftan.

– Co?

– Eli zraniła skrytobójcę sztyletem w lewy bok.

– A ja zarobiłem w lewy bok włócznią, kiedy niosłem elfa do Lecznicy. Co uczyniłem na twój rozkaz. Oboje, Temina i Ha'perin, są tego świadkami.

– Potrafię odróżnić te rany. Zdejmij kaftan.

Strażnik Bezpieczeństwa westchnął z irytacją i ściągnął zabłocone odzienie. Rzucił je na podłogę. Zdarł opatrunek, który nosił pod żebrami.

Władca zmierzył go wzrokiem.

– Masz znaleźć wojownika z kilkoma płytkimi ranami kłutymi, zadanyymi krótkim ostrzem – oświadczył, nie zmieniając tonu. Schował miecz do pochwy. – Od dzisiaj będziesz codziennie meldował mi o postępach w śledztwie. To moje jedyne ostrzeżenie. Rozumiemy się?

– Tak.

– Jeśli cokolwiek jej się stanie, odpowiesz za to osobiście.

– Tak jest – odparł dowódca.

Ha'akon minął go bez słowa i wyszedł. Strażnik Bezpieczeństwa został sam. Do tej pory tłumaczył sobie, że taił informacje przed swoim bratem dla jego dobra. Był przekonany, że w obecnym stanie umysłu ten zaszlachtowałby na miejscu bez sądu każdego, kogo uznałby za winnego. Prawda była taka, iż Tygrys sam nie miał pewności, jak szerokie kręgi zatacza ta sprawa. Wiedział, kim jest grasujący w twierdzy skrytobójca. Instynkt

podpowiadał mu, iż miał do czynienia z rozbudowaną siatką szpiegow-
ską i wolał pozostać w cieniu, zanim odkryje większą część tej układanki.

– Kąpiel gotowa? – Zakrzyknął na sługę, który jak przystało na mi-
zerną kreaturę, tylko skłonił się nisko. – Sprzątnąć to bagno. – Wskazał
leżące na podłodze brudne odzienie.

Ha'teng ściągnął spodnie i buty, po czym nago pomaszerował do
sąsiedniego pomieszczenia, gdzie czekała na niego balia z gorącą wodą.

* * *

– Ty, ty i ty. – Nadzorczyńni wskazała dziewczyny zanurzone w kąpeli.
– Wysuszyć się i ubierać. Pan Ha'aki wzywa.

Anéz westchnęła ciężko, podeszła do grubaski.

– Czy dzisiaj może mnie ktoś zastąpić? Obiecałam już wieczór komuś
innemu.

Baba spojrzała na nią spod opadających powiek.

– Nie wykręcisz się. O ciebie prosił specjalnie.

Pewnie wyliczył, że już zagoiły mi się sińce, które mi ostatnio sprawił – po-
myślała Anéz. Wycierała się wolno, by opóźnić, na ile mogła, moment wyjścia.
Narzuciła na siebie byle co, nie przeczesła włosów, nie skropiła perfuma-
mi. Starła się być jak najmniej atrakcyjna, chociaż wiedziała, że to niewiele
pomoże. Z jakiegoś powodu upodobał ją sobie. Dwie pozostałe dziewczyny
były nowe i bardzo młode. Stroiły się, jak to zwykle branki miały w zwyczaju.

– Pierwszy raz idziecie do Ha'akiego? – zapytała je Anéz, chociaż
właściwie nie musiała. Żadna branka, która choć raz odwiedziła te kom-
naty, nie chciała tam wracać.

Dziewczęta potaknęły. Wydawały się niezwykle podekscytowane
możliwością spędzenia nocy z jednym z Pierwszych Braci, co uznawa-
no za zaszczyt.

– Jaki on jest? – dopytywały, ale zarządczyni już je poganiała.

– Pamiętajcie, żeby nie krzyknąć – ostrzegła Anéz. – To go rozsierdza. Głupie gęsi zachichotały.

– Czy nie o to właśnie chodzi? – Mrugnęła do niej jedna. – Żeby go... rozsierdzić?

Anéz westchnęła w duchu. Same się przekonają.

Strażnik doprowadził je do komnat Ha'akięgo. Służba wpuściła je do środka. Ha'aki czekał już w sypialni – półnagi, odurzony winem i pewnie czymś jeszcze, sądząc po szklistych oczach. Rzucił uprząż w stronę Anéz.

– Wiesz, co robić – rozkazał.

Nic nie odpowiedziała, po prostu zaczęła się rozbierać. Potem odwrócił się do nowych dziewcząt. Odstawił kielich z winem na stół i ujął w dłoń krótką nahajkę.

– Zobaczmy, ile jesteście warte – mruknął, po czym zaczął je ćwiczyć.

Gdyby tylko mogła, Anéz zatkałaby uszy, żeby nie słyszeć wrzasków, ale wiedziała, że to jeszcze bardziej rozjuszy mężczyznę.

Założyła więc uprząż i przypięła się do nogi łóżka.

Czekała na swoją kolej.

* * *

Namiestnik rozkazał gwardzistom pozostać przed izbą, sam zaś wraz z Zakiem i Teminą wkroczył do środka.

Eli spała, przykryta białym płótnem. Oddychała równo i spokojnie. Elf siedział przy niej, odziany jedynie w luźne spodnie. Trzymał jej dłoń. Jego ciało wciąż było pokryte głębokimi szramami, które, choć zasklepione dzięki krasnoludzkim zabiegom, nadawały mu zdeformowany kształt. Władca nie miał pojęcia, w jaki sposób nieczłowiek zdołał się podnieść z posłania. Rany musiały sprawiać dojmujący ból.

Krasnoludzki wódz podszedł do brata bliźniaka i zadał mu kilka pytań w swoim języku. Ten odpowiedział na migi. Elf wydawał się nie

zwracać uwagi na ich obecność, był skupiony tylko na dziewczynie. Ha'akon odchrząknął.

– Musimy was przenieść na Górny Zamek.

– Dlaczego?

– Żeby ją chronić. Ktoś nastaje na jej życie.

– Tak. Każdy Ha'ami.

Namiestnik przełknął zniewagę.

– Zakwaterujemy ją w moich komnatach. A ty wrócisz do celi w wię-
ży. Oboje dostaniecie ochronę.

– Sam zadbam o jej bezpieczeństwo – zachnął się elf.

Zak parsknął donośnie.

– Znaleźli się obrońcy. Jeden wart drugiego.

– Nie rozdzielicie nas więcej – ciągnął tamten, niezrażony.

– Dostaniecie najlepszych gwardzistów Ha'ami. I moje osobiste gwa-
rancje – zaoponował Ha'akon.

– Już to gdzieś słyszałem... osobiste gwarancje! – wszedł mu w słowo krasnolud. – A, prawda, w liście, który wysławił honorowego pana tej twierdzy, co przyrzekł traktować ją z szacunkiem. Choć to rzadkość, zgadzam się z elfem. Nie wierzę, iż będzie bezpieczna w twoich komna-
tach, szlachetny panie.

Władca poczuł, jak żyły na szyi napęlniają mu się krwią.

– Gwarancje srancje, kretynom radocha! Nie dam się znowu na to nabrać – ciągnął brodaty nieczłowiek swoim dudniącym głosem. – Mo-
żesz sobie postawić armię pod jej drzwiami, a my i tak dopilnujemy jej
bezpieczeństwa, jakem Zak!

– Czy kogokolwiek obchodzi moje zdanie? – Nagle doszedł ich słaby
głos. Wszyscy, jak jeden mąż obejrzeni się w tamtą stronę. – Czy zamie-
rzacie dalej targować się o mnie jak o dojną maciorę?

– Dziecinko... – Krasnolud spłoszował na twarzy, postąpił krok w jej
kierunku. – Mam na sercu jedynie twoje dobro. Tu grasuje zabójca.

– Już raz sobie z nim poradziłam. Czyż nie tak, ojczulku? – odpowiedziała Eli pewnym siebie tonem. Oparła się na ramieniu elfa, który podciągnął ją do pozycji siedzącej.

Mocno trzymał ją w objęciach. Krew w tętnicach Ha'akona nie zwolniła tempa.

– Tak, dziecinko, ale jesteś ranna... – Zak przemawiał tonem łagodnej perswazji, co zdecydowanie nie pasowało do jego aparycji.

– Możecie mnie przenieść, gdzie wam się podoba. Dopóki nie wydobrzeję, nie robi mi to różnicy. Ale nie rozdzielcie mnie z Tallenem. – Z wyraźnym wysiłkiem zacisnęła palce na dłoni elfa. Szepnęła mu coś na ucho w obcej mowie.

Odpowiedział uspokajającym tonem, pogładził ją po włosach.

Namiestnik wyczuł, jak jego siostra woła go bezgłośnie. Kiedy zwrócił się w jej stronę, stanowczo skinęła. Dla dobra dziewczyny jeszcze raz postanowił schować dumę do kieszeni.

– Niech tak będzie. – Ha'akon zignorował błysk sarkazmu w oczach krasnoluda. – Temino, wezwij tragarzy. Zaczekam na zewnątrz, razem z gwardzistami. – Poirytowany do granic opuścił izbę.

* * *

Kiedy Ha'aki skończył z brankami, ciężko padł na łóżko. Anéz odczekała chwilę, a gdy chrapał, szeptem nakazała szlochającym w kącie dziewczętom pozbierać ubrania i uciekać.

– Zostanę na czatach, jakby się obudził. Zaraz do was dołączę – wyjaśniła.

Spojrzały na nią z wdzięcznością. Głupie, zarozumiałe krowy. Trzeba było słuchać i nie drzeć się w niebogłosy, szybciej by się znudził.

Kiedy została sama ze śpiącym dowódcą, wypięła się z uprząży i, stąpając na palcach, ruszyła w stronę drzwi do gabinetu. Ostrożnie

je pchnęła i prześlizgnęła się przez utworzoną w ten sposób szparę. Cichutko podeszła do biurka i w świetle księżycy przyjrzała się leżącym tam papierom. Wyciągnęła z kieszeni szerokich spodni kawałek tkaniny i rysik. Nastawiła uszu w obawie przed najmniejszym odgłosem, po czym skopiowała treść dokumentów.

Ha'teng wybrał Anéz z dwóch powodów: słabości, którą miał do niej Strażnik Tradycji, i jej zdolności artystycznych. Chociaż nie potrafiła czytać ani pisać, bezbłędnie naśladowała ślimaczki, którymi się posługiwali.

Ona zaś zgodziła się szpiegować Ha'akiego z bardzo prostego powodu – Ha'teng płacił dobrze. A skoro i tak była skazana na regularne towarzystwo tego zasranego zwyrodnialca, mogła na tym nieco zarobić. Nie znała co prawda wartości wiadomości, które przynosiła, ale wcale jej to nie obchodziło. Najważniejsze było to, by pozostać przy życiu i odłożyć monetę.

* * *

Namiestnik Wschodu zdecydowanym krokiem przemierzał schody z królewskiej twierdzy na dziedziniec, na którym zostawił swoją obstawę, kiedy dotarł tam o poranku. Miał zamiar natychmiast wyruszyć z powrotem. Nie w głowie mu było wieczieranie ze służalczymi pachołkami króla.

W uszach dzwoniły mu słowa władcy.

Jeśli ona jedna jest niezbędna do kontrolowania tej dziczy, po co mi Ha'gard?

Berennike. Przekłęta suka. Przekłęte, zasrane prawa parszywego plemienia dzikusów.

To jemu król ją obiecał. To on miał pojąć ją za żonę według miejscowego rytuału i tym samym przejąć władzę w tej części świata. Całymi latami polował na nią po przygranicznych lasach i rubieżach, aż pewnego

dnia złamał torturami właściwego człowieka, który zdradził kryjówkę jej bandy. Wybili ich co do łba, tylko ją jedną zostawili żywą. Do czasu.

Nie chciała iść po dobroci.

Przeklęta suka.

Czterech gwardzistów musiało ją trzymać, kiedy ją brał. Nawet w trakcie tak wierzgała, gryzła i pluła, że musiał ją ogłuszyć.

Mysłał, że ją złamie. Miał zamiar zaciągnąć ją na łańcuchu do stolicy tego zawszawionego królestwa, trzymać w klatce na pokaz jej szmatławym poddanym, a sam rządzić. Nie przewidział, że wiedźma powiesi się na sznurze, którym ją związali. Przeklęta suka. Z wściekłości poćwiartował jej ciało i rzucił psom na pożarcie, a swoim ludziom zabronił mówić, że kiedykolwiek ją znaleźli. Nie chciał, żeby król miał go za nieudacznika, który nie upilnował więźniarki. Zresztą stwierdził, że znajdzie jakąś inną Azzgotkę, którą podstawy za Berennike, i zakończy sprawę. Ich parszywa Starszyzna nie uznała jednak żadnej przybłedy, którą im prezentował. Azzgoci powoli godzili się z tym, że ich księżniczka nigdy nie wróci. Jego rządy, siły i żelaza, umacniały się, dopóki głodna tłuszczka nie rozpoczęła powstania. Prace w kopalniach ustały, a dostawy surowców, zwłaszcza soli, do kraju Ha'ami nie płynęły w umówionym tempie. Król mocno się niecierpliwił, a Namiestnik Wschodu potrzebował więcej ludzi i czasu, żeby stłumić rebelię. A do tego teraz na dalekim Zachodzie pojawiła się nowa pretendentka, która zdołała porwać tłum. Te wieści wnet rozniosły się w sercu kraju Azzgotów i wlały nowy zapal w zakute łby buntowników.

I to Ha'akon dorwał ją pierwszy. Ze wszystkich ludzi...

Przeklęta, przeklęta suka!

Nagle jakaś zakapturzona postać zastąpiła mu drogę.

Dowódca zatrzymał się w pół kroku. Już miał odesłać pokrakę do wszystkich demonów, kiedy usłyszał znajomy głos.

– Do końca liczyłam, iż nie odrzucisz mojego zaproszenia, Ha'gardzie. – Dioniza postąpiła w stronę światła i ukazała swoje gładkie oblicze.

Zbyt dobrze był obeznany z tą żmiją. Nie ufał żadnemu jej słowu.

– Przyjechałem rozmówić się z Ha'attikiem, nie rozpychać kichy dworskim żarciem – wycedził przez zęby. – Mam rozkazy do wypełnienia.

– To pierwszy raz, kiedy tak ci spieszo do uczynienia zadość królewskiej woli. – Jej czerwone wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

Miał ochotę chlasnąć ją pięścią wprost w tę fałszywą facjatę. Powstrzymał się z niemałym trudem.

– Czego chcesz?

– Co cię sprowadza, Królewska Matko – poprawiła go.

Nie odpowiedział, spojrzął na nią spode łba.

– Gdyby twoja cierpliwość była równa twoim zdolnościom we władaniu bronią, byłbyś zaiste niepokonany – ciągnęła niezrażona. – Ale nie mam zamiaru wystawiać na próbę twojego opanowania. Przychodzę z radą, która pomoże ci zdobyć to, czego tak pragniesz. – Postąpiła krok w jego stronę, zniżyła głos do szeptu.

– Ha'attik wie o twoich knowaniach? – Niech wie, że nie jest taki głupi, za jakiego uważają go te dworskie lisy. Nie da się wciągnąć w ich gierki.

– Wszystko, co robię, służy Koronie. – Jej uśmiech nie zbladł ani na chwilę. – W najlepszym interesie Ha'ami jest pełne podporządkowanie całego Wschodu i obsadzenie Ha'garda jako Namiestnika nowej prowincji.

– Nie Ha'akona?

– Przymierze Azzgotów z Kamiennym Gniazdem może być wyjątkowo kłopotliwe dla naszego króla, nawet ty zdajesz sobie z tego sprawę. – Błysk sarkazmu w jej oczach sprawił, że krew się w nim zagotowała. – Dlatego przychodzę z... sugestią.

Ponury dowódca w milczeniu wysłuchał szeptu Dionizy, która przedstawiała mu swój zamysł. Nie miał zamiaru się z nią sprzymierzać. Chciał jednak wiedzieć, co ta upudrowana wiedźma knuje i jak wykorzystać to do własnych planów.